

Ryszard MONTUSIEWICZ

## POCZĄTKI NOWEJ EWANGELIZACJI BIAŁORUSI

*Atmosfera zagrożenia, brak perspektyw życiowych, bieda, trudności aprowizacyjne i marazm tworzyły przygnębiający klimat życia społecznego. Dlatego niemal wszyscy zadawali nam jedno pytanie: Dlaczego tu przyjechaliście, skoro my wszyscy chcemy stąd wyjechać? Żadna z ludzkiego punktu widzenia zrozumiała racja nie tłumaczyła przybycia do Bobrujska naszej rodziny z Polski, która wszystkim jawiła się jako kraj dobrobytu, dobrej płacy, perspektyw życiowych, która była wręcz synonimem „zachodniego edenu”.*

Po ponad osiemdziesięciu latach prześladowań, represji i szykan Kościół katolicki na wschodniej Białorusi był w znacznym stopniu zniszczony. Z rzadka rozrzucone świątynie były zdewastowane, przebudowane, przeznaczone do innych celów bądź pozostawione w ruinie, parafie zostały zdelegalizowane i pozbawione duszpasterzy, których deportowano lub obłożono zakazami pracy kapłańskiej.

W Mińsku na przykład tak zwany czerwony kościół pozostawał w rękach władz, zamieniony w budynek gospodarczy. W Bobrujsku w neogotyckiej świątyni wyburzono wieże i przedsionek, stawiając w tym miejscu biurowiec – w ten sposób nawa kościoła stała się jakby przybudówką, w której organizowano koncerty, targi rolnicze czy spotkania aktywu pracowniczego. W Rohaczewie kościół pozostał w ruinie, w Żłobinie, Swietłogorsku kościołów już nie było. W Gomlu i w innych miastach – zostały wysadzone w powietrze.

Rozpad Związku Sowieckiego i powstanie niezależnej Republiki Białorusi obudziły zrozumiałe nadzieje nielicznych katolików i duchownych na zakończenie długotrwałych prześladowań Kościoła. Zaczęły powstawać, niemal jak grzyby po deszczu, „dwiedcatki”, czyli lokalne komitety parafialne. Władze te komitety rejestrowały, zezwalając w ten sposób wiernym na gromadzenie się i sprawowanie Mszy Świętej.

Przełomowym wydarzeniem w procesie odnowy Kościoła katolickiego na Białorusi było podniesienie przez papieża Jana Pawła II do godności biskupa ks. Tadeusza Kondrusiewicza, kapłana pracującego na Grodzieńszczyźnie. Nowy biskup, którego zadaniem było odbudowanie parafii i przywrócenie życia religijnego, zdawał sobie sprawę ze wszystkich problemów, czy wręcz z obszarów niemożności pozostałych po dekadach spustoszeń. Jego zadanie było – przy wszystkich zastrzeżeniach – łatwiejsze na zachodniej Białorusi, w rejonie Grodna, Brześcia, a nawet Nowogródka i Pińska. Tam bowiem zachowały się,

mimo prześladowań, w miarę zwarte środowiska katolików, a gdzie indziej parafie i domy zakonne, docierali z posługą sakramentalną lokalni duchowni, a także księża z Polski, którzy w latach pięćdziesiątych przyjeżdżali coraz częściej.

Inna sytuacja, niemal totalnej pustyni duchowej, panowała we wschodniej Białorusi w rejonach: gomelskim, bobrujskim, mińskim, mohylewskim i witebskim. Trwały tam gdzie indziej małe, stopniowo wymierające społeczności wiernych, pozostawione same sobie, bez opieki duszpasterskiej. Tylko z inicjatywy bardziej aktywnych (to znaczy odważniejszych) wiernych – przeważnie były to niewiasty – sprowadzano w tajemnicy księży, głównie z Wilna. Pojawiali się raz, dwa razy w roku, zatrzymywali się najczęściej w prywatnych domach – spowiadali, odprawiali Mszę Świętą, chrzcili, namaszczały chorych.

Biskup Kondrusiewicz znał tę sytuację, świadomy był także, że z powodu braku kapłanów nie może zaspokoić przeogromnych potrzeb związanych z odbudową żywego Kościoła. Podczas pobytu w Rzymie jesienią 1989 roku prosił w różnych miejscach i przy rozmaitych okazjach o pomoc w podejmowaniu tych wyzwań. Wśród odpowiedzi ze strony różnych formacji kościelnych pojawiła się także konkretna deklaracja Drogi Neokatechumenalnej. Jej założyciele – Kiko Argüello, Carmen Hernandez i o. Mario Pezzi – gotowi byli posłać na Białoruś ekipy ewangelizacyjne w ramach nowego doświadczenia „rodzin w misji”. Już wcześniej ekipy katechistów wędrownych z neokatechumenatu sporadycznie wyjeżdżały między innymi do Mohylewa, aby poznać sytuację lokalnych środowisk katolickich i głosić Dobrą Nowinę. W jednej z takich ekip był prof. Marian Maciejewski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, który głosił katechezy także w Wilnie.

Wracając do apelu... Po konsultacji z biskupem Kondrusiewiczem i ekipą katechistów odpowiedzialnych za Drogę Neokatechumenalną w Polsce uznano, że najwłaściwiej będzie, jeżeli dzieło nowej ewangelizacji na Białorusi rozpoczną polscy kapłani i polskie rodziny. W roku 1989 na jesiennym spotkaniu europejskich ekip katechistów wędrownych w Porto San Giorgio we Włoszech spośród kilku kapłanów, którzy byli gotowi udać się na Białoruś, wyłoniono poprzez losowanie dwóch – ks. Sławomira Laskowskiego z Lublina i ks. Andrzeja Szczęsnego z Gniezna. Podobnie spośród ośmiu polskich rodzin, które wyraziły gotowość wyjazdu, los wyznaczył dwie – obie z Lublina – Andrzeja i Elżbietę Wojnowskich oraz Ryszarda i Lucynę Montusiewiczów.

Dwa dni później obie ekipy przyjął na prywatnej audiencji Jan Paweł II. Wieczorne spotkanie w bibliotece papieskiej miało bardzo osobisty charakter – Ojciec Święty błogosławił obu kapłanom i rodzinom, zapewne bardziej niż wszyscy oni świadomy wyjątkowości ich misji. Papież wręczył każdemu z posłanych krzyż misyjny. Ze względu na specyfikę przedsięwzięcia utrzymywane było ono w tajemnicy do lata roku 1990, choć przygotowania do wyjazdu

w tym czasie już trwały. Ksiądz Laskowski udał się na Białoruś wiosną i objął parafię w Gomlu (półmilionowym mieście nad Sożem).

Obie rodziny, Andrzej i Elżbieta Wojnowscy z trojgiem dzieci i Ryszard i Lucyna Montusiewiczowie (wtedy z pięciorgiem dzieci), oraz ks. Andrzej Szczęsny przyjechali do Gomla w lipcu. Odbyło się wówczas niezwykle spotkanie z bp. Tadeuszem Kondrusiewiczem – wieczorem, w prywatnym mieszkaniu, na bodaj ósmym piętrze gomelskiego blokowiska. Biskup przyszedł w stroju cywilnym, wyjął krzyż biskupi z wewnętrznej kieszeni marynarki i zawiesił go sobie na szyi. Był chyba przejęty spotkaniem z dwiema rodzinami, które przyjechały na Białoruś w odpowiedzi na jego apel o pomoc odradzającemu się Kościołowi. Rodzina Wojnowskich miała pozostać w Gomlu, aby wspomagać księdza Laskowskiego. Druga ekipa – ks. Andrzej Szczęsny z towarzyszącym mu seminarzystą oraz rodzina Montusiewiczów – miała pojechać do Bobrujska, ponad ćwierćmilionowego miasta nad Berezyną, mniej więcej w połowie drogi między Gomlem a Mińskiem. Ksiądz biskup wyjął kartkę papieru i odręcznie napisał dekret nominacyjny dla księdza Szczęsnego, który w ten sposób mianowany został proboszczem Bobrujska. Tak oto narodziła się nowa rzeczywistość kościelna – misja rodzin w Bobrujsku.

## ŚLADY

Bobrujsk położony jest na historycznym szlaku z Warszawy do Moskwy – do dziś jedna z głównych ulic przecinających miasto z zachodu na wschód nazywa się Warszawskaja. Miasto nazywane było niegdyś stolicą Żydów białoruskich (choć z tej dawnej świetności niewiele pozostało). Bobrujsk miał w swojej bogatej historii „ślad misyjny” – pracował tu przez kilka lat św. Andrzej Boboła, istniała jezuicka placówka misyjna. W dziewiętnastym wieku Bobrujsk służył z carskiej twierdzy, potem zamienionej w więzienie. Na początku dwudziestego wieku wzniesiony został piękny neogotycki kościół. Prawosławni mieli wyniosłą tak zwaną Białą Cerkiew. W rejonie Bobrujska toczyły się w roku 1920 polsko-sowieckie walki o przyłączenie tych ziem do II Rzeczypospolitej. Miasto pozostało w granicach Związku Radzieckiego. W latach trzydziestych przetoczyły się przez nie stalinowskie czystki i represje. Kościół został zamknięty w roku 1937, a zaraz potem zamknięto cerkwie. Większość katolików pochodzenia polskiego wywieziono na Syberię i do republik środkowoazjatyckich. Do końca lat pięćdziesiątych pozostała nieduża, licząca niewiele ponad dwadzieścia osób wspólnota katolików, w przeważającej części starszych kobiet. Zawiązały „dwiedcatkę”, zakupiły drewniany dom, w którym urządzono kaplicę i mieszkanie dla księdza, a także odzyskały to, co po częściowej rozbiórce i przebudowie pozostało z budynku kościoła.

## TERRA INCOGNITA, ZIEMIA PRZEKŁĘTA

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku południowo-wschodnia Białoruś uznawana była niemal powszechnie za „ziemię przeklętą” – przede wszystkim wskutek katastrofy nuklearnej w elektrowni atomowej w Czarnobylu w roku 1986. Chmury radioaktywne przesunęły się wtedy na północ i opadły na terytorium Białorusi. To ta – wtedy jeszcze sowiecka – republika, oprócz bezpośredniego rejonu wokół Czarnobyla, ucierpiała najbardziej. W miastach jeździły polewaczki, aby zmyć pył radioaktywny. Obowiązywał na przykład zakaz zbierania grzybów i kąpieli w otwartych akwenach wodnych, publikowane były urzędowe mapy z zaznaczeniem stężenia radiacji w różnych rejonach. Obwieszczenia w sklepach nakazywały gotowanie mleka przez dziesięć minut, aby „wytrącić radiację”, a także spożywanie codziennie stu gramów wódki, aby uodpornić się na skutki promieniowania.

Atmosfera zagrożenia, brak perspektyw życiowych, bieda, trudności aprowizacyjne i marazm tworzyły przygnębiający klimat życia społecznego. Dlatego niemal wszyscy zadawali nam jedno pytanie: Dlaczego tu przyjechaliście, skoro my wszyscy chcemy stąd wyjechać? Żadna – z ludzkiego punktu widzenia – zrozumiała racja nie tłumaczyła przybycia do Bobrujska naszej rodziny z Polski, która wszystkim jawiła się jako kraj dobrobytu – tak właśnie! – dobrej płacy, perspektyw życiowych, która była wręcz synonimem „zachodniego edenu”. Odpowiedź, że źródłem decyzji o przyjeździe do Bobrujska, a zatem o pozostawieniu naszego domu, pracy, środowiska rodziny i bliskich, jest Jezus Chrystus, doświadczenie wiary i wezwanie Kościoła, nie wydawała się pytającym mało wiarygodna czy fałszywa. Odwrotnie, budziła zainteresowanie, a może więcej – tęsknotę za tym, czego oni jeszcze nie doświadczyli, albo co utracili bez własnej winy, co nie zostało im przekazane.

## NASTAWAJ W POREĘ I NIE W POREĘ

Żyliśmy wśród bobrujszczan, dzieląc z nimi codzienność – trudną i siermiężną, niosąc zarazem doświadczenie wiary i żywej liturgii Kościoła, chrześcijańskiego życia małżeńskiego i rodzinnego, osobistego spotkania z Chrystusem, doświadczenie, które przekazywaliśmy im na różne sposoby.

Dzieci – dwoje, potem troje – rozpoczęły naukę w pobliskiej szkole (w języku rosyjskim, białoruskim i hiszpańskim). Żona pracowała jako psycholog w domu dziecka dla upośledzonych sierot, ja uczyłem języka polskiego w kilku szkołach i pracowałem jako tłumacz języków: rosyjskiego, białoruskiego i polskiego. Poza tym – a raczej przede wszystkim – prowadziliśmy różne prace katechetyczne, współpracowaliśmy z proboszczem w organizowaniu na nowo życia kościelnego.

Przestrzeń społeczna wokół „rodziny w misji” wypełniała się bardzo szybko i w bardzo wielu wymiarach. Naturalna i niezastąpiona okazywała się rola dzieci – poprzez szkołę, przychodnię zdrowia, dom kultury, sąsiadów otwierały one serca wielu ludzi, były znakiem zapytania, budziły zaciekawienie i same inspirowały do nowych kontaktów.

Do nas i do kościoła zaczęły przychodzić nowe osoby – zainteresowane i zaintrygowane tym, co się dzieje, jakimś nowym ruchem, poruszeniem. Owo poruszenie nie budziło tylko zwykłej ciekawości, ale dotykało wymiaru głębszego – prowokowało do stawiania pytań: Kim jestem? Jaki jest sens mojego życia? Dokąd ono zmierza? Jaką ma wartość? I dalej: Kim jest Bóg? Co konkretnie niesie wiara? Dla naszych nowych znajomych były to pytania, z których totalitarny komunizm i indoktrynacja ateizmem ich ogołociły. Widzieliśmy, że gdy ktoś zaczyna stawiać sobie takie pytania, konfrontując je z cierpieniem, którego doświadcza, otwiera się również na odpowiedzi zawarte w Piśmie Świętym i w przepowiadaniu Kościoła. (O tym bardzo ważnym dla nas, jakby „pierwotnym” doświadczeniu misji mieliśmy okazję mówić jesienią 1991 roku w Rzymie na synodzie biskupów poświęconym Europie.)

W rezultacie tych pierwszych spotkań i pytań powołany został w parafii w Bobrujsku prekatechumenat dla szerszego kręgu zainteresowanych odkrywaniem wiary i Słowa Bożego, a potem katechumenat dorosłych – dla tych, którzy poprosili o chrzest, gotowi najpierw przygotować się na jego przyjęcie. Głosiliśmy też katechezy dla młodzieży i dorosłych w ramach Drogi Neokatechumenalnej, czego owocem było powstanie kolejnych wspólnot. Osobną formą katechezy było przygotowywanie par pozostających w związkach cywilnych do sakramentu małżeństwa oraz dzieci do Pierwszej Komunii Świętej. Ksiądz proboszcz docierał też do bobrujskiego więzienia i szpitali.

W kościele wprowadzony został regularny porządek Mszy Świętych, innych liturgii i okolicznościowych nabożeństw. Proboszcz wraz z seminarzystą dojeżdżali na Mszę Świętą do kilku nowo erygowanych kaplic lub do prywatnych domów. Cała ekipa natomiast uczestniczyła w katechizacji wstępnej w Swietłogorsku i Żłobinie – miastach położonych w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od Bobrujska.

Wierni przybywali z miast i wiosek – można powtórzyć za św. Justynem żyjącym w drugim wieku po Chrystusie. Wszyscy przeżywali narodziny żywego Kościoła, w wielu aspektach – zwłaszcza w sensie egzystencjalnym – bliskie wydarzeniom relacjonowanym w pismach apostoelskich czy w dziełach Ojców Kościoła. Wśród nowych parafian bobrujskich byli tacy, których ochrzciła potajemnie babuszka „u księdza”, a nawet w cerkwi, byli tacy, którzy jak przez mgłę pamiętali swoje chrześcijańskie korzenie, byli tacy, którzy przyszli, mając za sobą doświadczenia katorgi, cierpienia, udręczenia, byli Polacy, Rosjanie, Ukraińcy lub osoby pochodzenia mieszanego, byli tacy, którzy przyszli „ze świata”, młodzi i starzy, wykształceni i ludzie prości. Dość wspomnieć, że Wiel-

kanoc roku 1992 świętowało w kościele ponad pięciuset wiernych, przybyłych z miasta i wiosek, w sadzawce chrzcielnej życie chrześcijańskie rozpoczęło kilkoro dorosłych i kilkoro dzieci, a radosne alleluja brzmiało z nową mocą i nadzieją.

Innym razem ogromne zainteresowanie wiernych i osób spoza parafii wzbudziła inscenizacja szopki bożonarodzeniowej z dużymi figurami przywiezionymi z Polski i z jasełkami w wykonaniu naszych dzieci i dzieci rodziny hiszpańskiej, która dołączyła do misji.

Nastawanie w porę dotyczyło też bobrujskich Żydów. Na naszych oczach wielu z nich emigrowało do Izraela. Spotykaliśmy ich w różnych okolicznościach, w szkole, w urzędach, po sąsiedzku. Niemal wszyscy byli głęboko zateizowani – odrzucili wiarę na rzecz wykształcenia, kariery, polityki. Pochodzenie żydowskie dawało im szansę wyrwania się z zaklętego kręgu beznadziei, otwierało perspektywę lepszego życia, drogę do wolnego świata. Wiedząc, kim są, przypominaliśmy im ich korzenie – wiarę ludu wybranego, patriarchów, wyznania Szema Izrael. To przepowiadanie poruszało ich głęboko – nierzadko do łez – przypominając modlitwy w synagodze, domowe szabaty, wartość tego, co porzucili lub utracili. Echa tych spotkań dotarły do nas w Izraelu. To jednak opowieść należąca do innej księgi życia.